



Sławomir Adamczak
zdjęcia: Piotr Pustelnik

8000 m n.p.m.

Dach świata

Historie o zdobywcach najwyższych szczytów



Sławomir Adamczak
zdjęcia i konsultacja: Piotr Pustelnik

8000_{m n.p.m.} Dach świata

Historie o zdobywcach najwyższych szczytów

Tekst: **Sławomir Adamczak**

Konsultacja: **Piotr Pustelnik**

Redakcja: **Anna Willman**

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety, opracowanie graficzne i fotoedycja: **Jacek Bronowski**

Opracowanie okładki: **Aleksandra Zimoch**

Zdjęcia na okładce:

Dreamstime.com: przód – Nanga Parbat © Ndwarraich, tył – Mount Everest © Daniel Prudek

© Copyright for the text, cover and layout by Wydawnictwo SBM Sp. z o.o., 2021
Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-532-7



SPIS TREŚCI

Przedmowa	4
Od Autora	6
Mount Everest	8
K2	28
Kanczendzonga	46
Yalung Kang	60
Kanczendzonga Centralna	62
Kanczendzonga Południowa	64
Lhotse	66
Lhotse Middle	84
Lhotse Shar	86
Makalu	88
Czo Oju	104
Dhaulagiri	120
Manaslu	132
Nanga Parbat	148
Annapurna	162
Gaszerbrum I	176
Broad Peak	192
Broad Peak Central	206
Gaszerbrum II	208
Sziszapangma	222
Bibliografia	236
Indeks	238

Przedmowa

Chociaż góry zajmują na naszej planecie niewiele miejsca, a góry najwyższe jeszcze mniej, to jednak w latach 50. ubiegłego stulecia zdobywanie Himalajów i Karakorum przykuwało powszechną uwagę i rozpalalo wyobraźnię tak samo jak podboje Arktyki i Antarktyki na początku XX wieku. Skąd to zainteresowanie? Dlaczego ludzi przejętych zimną wojną, oczarowanych światem mody Coco Chanel i ogarniętych rockandrollowym szaleństwem fascynowały losy pionierów współczesnego himalaizmu? Często zadawałem sobie to pytanie, ale do teraz nie potrafię znaleźć przekonującej odpowiedzi. Wiem, co ciągnie ludzi w góry, także te najwyższe: skomplikowana kombinacja chęci przeżycia wielkiej przygody, poznania nieznanego, ale też samego siebie, dokonania czegoś, czego jeszcze nikt nie dokonał etc. Ale dlaczego ta garstka śmiałków pnących się coraz wyżej i wyżej miała tak dużą widownię – nie wiem... Mniejsza o to. Zresztą ten okres fascynacji wyczynami wspinaczy

nie trwał długo, bo około dziesięciu lat – potem góry najwyższe powędrowały w mediach tam, gdzie było ich miejsce, czyli do pism branżowych albo na ostatnie strony gazet – te, których prawie nikt nie czyta. Rozpoczął się okres mozolnego penetrowania Himalajów, do którego dołączyli Polacy – na początku nieśmiało, a potem z przytupem. Lata 80. i 90. XX wieku to pokaz siły polskiego alpinizmu. Celowo używam terminu „alpinizm”, bo jak większość moich koleżanek i kolegów uważam, że himalaizm wyewoluował właśnie z niego. Z licznej, dobrze wytrenowanej i doświadczonej grupy alpinistów, którzy zdobywali doświadczenie w niemal wszystkich górach naszego globu, wyłonili się himalaiści, którzy wkroczyli w świat gór najwyższych oczarowani, ale nie przytłoczeni ich ogromem. I pokazali, co potrafią – w lecie i w zimie. Ale każda epoka kiedyś się kończy... Z upływem lat grono wybitnych wspinaczy zaczęło się wykruszać. W latach 90. impet polskich wypraw w góry



▲ Piotr Pustelnik w obozie II na drodze normalnej na Czo Oju, 2006 rok

wysokie drastycznie osłabił i złota dekada naszego himalaizmu dobiegła końca. Właśnie wtedy trafiłem w góry najwyższe. W tym okresie zainteresowanie wielu najwybitniejszych alpinistów górami wysokimi znacznie osłabło, inni (wśród nich i ja) skupili się na kolekcjonowaniu ośmiotysięczników. Pojawiły się pierwsze wyprawy komercyjne. Nikt wtedy nie przypuszczał, że ten cienki strumyczek ludzi „z innej bajki” z czasem zamieni się w rwącą rzekę, która po kilkunastu latach wypłucze alpinistów spod najwyższych gór świata, zmuszając ich do szukania celów w innych rejonach planety. Nikomu się nie śniło, że popularne bazy pod ośmiotysięcznikami zamienią się w miasteczka podobne do kempingów z grillami, kafejkami internetowymi, małymi piekarniami i innymi udogodnieniami typowymi dla życia w dolinach...

No dobrze, ale o czym jest ta książka? Właśnie o tym wszystkim po trochu. To dokonany przez autora selektywny wybór historii, które wydarzyły się w Himalajach i Karakorum. I jak to zawsze bywa, z pewnością stanie się on przedmiotem dyskusji: dlaczego na kartach albumu pojawia się ta lub inna postać, a wiele, równie wybitnych czy wręcz wybitniejszych, pominięto itd. Według mnie jest w tym pewna prawidłowość, choć może się to wydawać krzywdzące lub niesprawiedliwe. Historia zdobywania najwyższych szczytów to epizody połączone na osi czasu: wzniosłe, dramatyczne, tragiczne, a czasem zabawne, bo w dziejach alpinizmu nie brakuje także pomyłek, zbiegów okoliczności lub historii z gatunku „od zera do bohatera”. Dla mnie jednym z najdziwniejszych i najzabawniejszych epizodów jest ten, do którego doszło na pewnej angielskiej wyprawie. W trakcie rekonesansu pod ścianą na lodowcu jeden z jej uczestników wpadł do szczeliny. Koledzy oznaczyli miejsce i pognali do bazy po sprzęt do ratowania. Wrócili najszybciej jak się dało, wyciągnęli nieszczęśnika, po czym – już na powierzchni lodowca – stwierdzili ze zdumieniem, że mają przed sobą Japończyka. Odprowadzili go do jego rodzimej bazy sąsiadującej z ich własną. Trudno wyobrazić sobie radość (i zaskoczenie) jego kolegów, którzy spisali go już na straty! Anglicy znów wrócili na lodowiec, niestety, w szczelinie nie znaleźli swego towarzysza. Kiedy smutni dotarli do bazy, zastali w niej poszukiwanego kolegę siedzącego nad kubkiem herbaty. Okazało się, że w szczelinie,



▲ Piotr Pustelnik na grani szczytowej Kanczendzongi, 2001 rok

w odróżnieniu od Japończyka, który siedział tam już jakiś czas zapewne osłabiony i wychłodzony, postanowił nie czekać na pomoc. Rozejrzał się w układzie szczeliny, po czym wyszedł z niej o własnych siłach kilkadziesiąt metrów dalej i okrężną drogą dotarł do bazy. Wszystko skończyło się jak w amerykańskim filmie, a przebieg tego zdarzenia mógłby stać się kanwą scenariusza filmu górskiego. Oczywiście takiego z Sylwestrem Stallone.

Czas na ostatnie zdania. Życzę tym, którzy sięgną po tę książkę, żeby ją uważnie przeczytali. Zamknęli oczy i przenieśli się w świat potężnych masywów, wielkich lodowców i maciupieńkich namiotów przycupniętych na platformkach w groźnej himalajskiej ścianie. Warto, bo to obraz wspaniały. I może wtedy uda się zrozumieć ludzi, którzy Himalajom poświęcili szmat czasu, ryzykując tym, co człowiek ma najcenniejszego – swoim życiem. Tym biologicznym, tym zawodowym i tym osobistym. Wszystkim.

Piotr Pustelnik

Od Autora

„W górach musisz wykonać pewien wysiłek bez zapłaty. Jest to mistyka, szukanie czegoś wyjątkowego. Do tego trzeba mieć wyobraźnię i filozofię życiową. Nie każdego na to stać, nie każdemu się chce. Bo w górach nie ma granic, tam się szuka wolności. A samo przebywanie w górach łagodzi, eliminuje agresję. Są elementy rywalizacji, ale rywalizacji z wyznaczonym celem, a nie z przeciwnikiem”.

Krzysztof Wielicki



▲ Na południowej ścianie Annapurny, 2005 rok

Książka opowiada o najwyższych górach naszej planety – o dziejach ich zdobywania, które obfitowały w wydarzenia zarówno wzniosłe, jak i tragiczne. Nie jest to szczegółowa encyklopedia, lecz opis kilkudziesięciu wypraw, wzbogacony fragmentami relacji ich uczestników.

Album składa się z dwudziestu rozdziałów – bohaterami każdego z nich są ośmiotysięczniki i ludzie, którzy rzucili im wyzwanie. Liczba rozdziałów może trochę dziwić, bo przyzwyczailiśmy się do tego, że ośmiotysięczników od zawsze było czternaście... Władze Nepalu postanowiły jednak dodać do ich listy sześć „nowych”, uznawanych do tej pory za wierzchołki podszczytowe większych masywów. W ten sposób jako samodzielne góry do wielkiej czternastki dołączyły: Yalung Kang, Kanczendzonga Centralna, Kanczendzonga Południowa, Lhotse Middle, Lhotse Shar oraz Broad Peak Central. Trudno powiedzieć, na ile nepalska inicjatywa odniesie sukces, toteż wskazując miejsce w rankingu wysokości ośmiotysięczników, wzięliśmy pod uwagę tylko tradycyjną czternastkę.

Chciałbym, by lektura tej książki stała się zaproszeniem do fascynującego świata groźnych skalnych ścian, rozległych pól podszczytowych, kilkudziesięciostopniowych mrozów, huraganowych wiatrów, lawin i szczelin lodowcowych. W tym świecie zdarzają się niepotrzebne wypadki i cudowne ocalenia, akty nieprawdopodobnego bohaterstwa i przypadki nieczystych zagrań, łzy radości i dramaty ostatnich pożegnań. Niektóre wydarzenia budzą kontrowersje nawet po latach – w miarę możliwości starałem się je przedstawić z punktu widzenia wszystkich zaangażowanych w nie osób.

Sławomir Adamczak



▲ Przejście przez Lodospad Khumbu (Icefall) w drodze na Everest i Lhotse

Mount Everest

„Szedłem dalej równo, pokonując nierówność za nierównością i półkę za półką, niecierpliwie wypatrując szczytu. Osiągnięcie go wydawało się być coraz bardziej niemożliwe, a czas uciekał. W końcu dotarłem do kolejnego dużego wypiętrzenia, a następnie – sztywno trzymany liną przez Tenzinga – wspiąłem się na jego łagodny grzbiet. Od razu było oczywiste, że osiągnęliśmy nasz cel. Była 11.30 i staliśmy na szczycie Everestu!”.

Edmund Hillary podczas pierwszego wejścia na najwyższą górę Ziemi

„Jestem bardzo szczęśliwy. Możesz sobie wyobrazić kogoś bardziej szczęśliwego? Osiągnąłem coś najcenniejszego. Everest to Everest, nie ma drugiej takiej góry”.

Piotr Pustelnik

Weszli czy nie?

W pierwszych dekadach XX wieku Everest (wtedy jeszcze bez nazwy) rozpala wyobraźnię potencjalnych zdobywców. Szczególnie interesują się nim Brytyjczycy. W latach 20. XX wieku organizują tam aż trzy wyprawy. Dwie pierwsze nie osiągają szczytu, co do trzeciej

Mount Everest

Wysokość: **8848 m n.p.m. (1. miejsce)**
Pierwsze wejście: **29 maja 1953**
Pierwsze polskie wejście: **16 października 1978**
Pierwsze zimowe wejście: **17 lutego 1980**
Liczba ofiar do liczby zdobywców: **3,29%**

zdania do dziś są podzielone. We wszystkich uczestnicy George Mallory, nauczyciel historii i alpinista, dla którego zdobycie Everestu stało się celem życia.



▲ Masyw Everestu, Lhotse i Nuptse z lotu ptaka (od południa)

Everest od południowego zachodu ►



Protesty Everesta

Aż do 1865 roku góra była znana pod mało intrygującą nazwą: Szczyt XV. Kilka lat wcześniej Brytyjczycy, po którymś z kolei pomiarze gór, zauważyli, że najwyższym masywem na świecie nie jest Kanczendzonga, lecz prawdopodobnie właśnie „Piętnastka”. Obliczenia wykazały dokładnie 29 000 stóp (8839,2 m n.p.m.), więc – żeby nie było podejrzenia równo – „podwyższono” nieco górę, ogłaszając publicznie, że liczy sobie 29 002 stopy. Dokonał tego niejaki Andrew Waugh – generalny geodeta Indii. Później żartowano, że był pierwszym człowiekiem, który postawił dwie stopy na szczycie.

By nie pozostawać przy banalnej nazwie Szczyt XV, postanowiono ochrzcić górę mianem sir George’a Everesta, który był inicjatorem opracowania mapy Indii. Co ciekawe, samemu Everestowi ten pomysł w ogóle się nie spodobał i stanowczo go oprotestował..

Pierwsza ekspedycja, w 1921 roku, to w zasadzie rekonesans, podczas którego przepatruje się ewentualne drogi wejścia. Rok później alpinści atakują sam masyw. Osiągają wysokość 8326 m n.p.m., co jak na tamte czasy jest wynikiem niezwykłym. Wiedza o wpływie rozrzedzonego powietrza na organizm dopiero raczkuje, a sprzęt, jakim dysponują wspinacze, wśród dzisiejszych wzbudziłby przerażenie.

Nadchodzi rok 1924, rok trzeciej brytyjskiej wyprawy. Generał Charles Bruce, który miał nią kierować, zapada na malarię, a jego obowiązki przejmuje Edward F. Norton. Rok wcześniej Mallory podczas odczytów w Stanach Zjednoczonych przekonuje, że teraz na pewno wejdą na szczyt. W czasie jednego odczytu, na kolejne pytanie, dlaczego się wspina na Everest, lekko zirytowany wypowiada słynne zdanie: „Ponieważ istnieje”.



▲ Członkowie ekspedycji z 1921 roku; od lewej stoją: Sandy Wollaston, Charles Howard-Bury, Alexander Heron, William Raeburn; siedzą: George Mallory, Oliver Wheeler, Guy Bullock, Henry Morshead



▲ George Mallory (przed jasnym kołem) i inni członkowie wyprawy na Everest z 1924 roku

Wyprawa dochodzi do skutku. Mallory ma trzydzieści siedem lat i uważa, że to jego ostatnia szansa na zdobycie góry. Jako pierwsi szczyt atakują Howard Somervell i Norton, jednak na wysokości ponad 8000 m n.p.m. opadają z sił – temu drugiemu do sukcesu brakuje około 280 pionowych metrów. Somervell robi wtedy słynne zdjęcie pokazujące podchodzącego Nortona i daleko nad nim kopułę szczytową.

Na szczyt wyrusza drugi zespół: Mallory i wybrany przez niego dwudziestodwuletni Andrew Irvine, który po raz pierwszy jest na takiej wyprawie. Do

dziś trwają dywagacje, czy gdyby jego miejsce zajął doświadczony Noel Odell, losy potoczyłyby się inaczej. Za Irvinem przemawiało obozowanie z aparatami tlenowymi, przyjaźń łącząca go z Mallorym oraz fakt, że według tego ostatniego był „silny jak wół”. Tyle że Odell, który na początku zawsze potrzebował trochę czasu, żeby się rozkręcić, był później nie do zdarcia, a Irvine szybko się męczył.

Do dziś nie wiadomo, czy weszli na szczyt. Przebywający w obozie VI Odell zobaczył ich tylko na chwilę, kiedy rozstąpiły się mgły: dwa małe punkciki wysoko na grani. Widać jednak było tylko niewielki fragment góry – na tyle mały, że nie sposób było ustalić ich położenia względem szczytu.

Mallory i Irvine z góry już nie zeszli, a zagadka pozostała nierozwiązana. Prawdopodobnie nie stanęli na szczycie – późniejsza analiza miejsca, gdzie mógł ich widzieć Odell, wykazała, że byli za nisko, by mogło im się udać.

Ciało Mallory’ego znaleziono dopiero w 1999 roku. Nie miał przy sobie aparatu fotograficznego, a rzeczy osobiste dały tylko pole do kolejnych domysłów. Zastanawiające, że nie było wśród nich zdjęcia ukochanej żony, które obiecał pozostawić na szczycie. Więc może jednak...

▼ Everest, Lhotse i Nuptse oraz lodospad i lodowiec Khumbu – widok z Kala Pattar



Pszczelarz na dachu świata

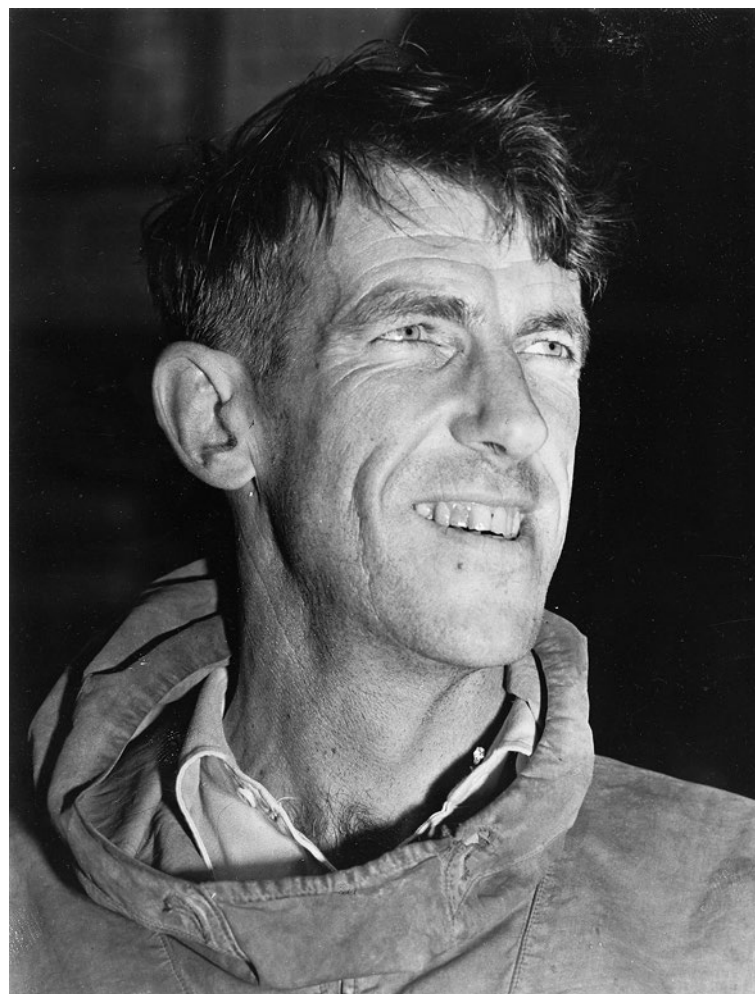
„Cóż George, załatwił mi drania” – tymi słowami Edmund Hillary skomentował pierwsze udane wejście na Mount Everest, gdy zszedł w okolice Przełęczy Południowej i spotkał innego himalaistę George’a Lowe’a. Według innej wersji brzmiało to raczej jak „wykończyliśmy skur...”.

Po Mallorym jeszcze dziesięć wypraw próbowało bezskutecznie zdobyć Mount Everest. Udało się to wreszcie w 1953 roku, kiedy ośmiotysięczniki już od trzech lat nie były dziewicze (w 1950 roku Francuzi zdobyli Annapurnę). Wyprawą kierował John Hunt, zawodowy oficer armii brytyjskiej. Dwaj wyżej wspomniani wspinacze, Hillary i Lowe, byli Nowozelandczykami i jedynymi uczestnikami, których Hunt nie znał osobiście. Wiedział jednak o ich „lodowych” kompetencjach, nabytych na wymagających szczytach Alp Południowych w Nowej Zelandii. Hillary z zawodu był pszczelarzem, a Lowe reżyserem i pedagogiem.

Pierwszą parą atakującą szczyt byli Tom Bourdillon i Charles Evans. Prawie im się udało. Prawie, bo problemy z tlenem zmusiły ich do odwrotu zaledwie sto pionowych metrów przed wierzchołkiem. Dwa dni później wyruszyli Hillary i Szerpa Tenzing Norgay. Ten drugi był już wówczas doświadczonym wspinaczem – m.in. dwa lata wcześniej brał udział w wyprawie na Nanda Devi East w Himalajach Gharwalu. Swe zmagania z tą górą, pierwszy raz zdobytą przez Polaków w 1939 roku, określił później jako najtrudniejszą wspinaczkę w życiu.



▲ Edmund Hillary i Szerpa Tenzing Norgay tuż po zdobyciu Everestu



▲ Edmund Hillary w 1953 roku

Dzięki wytyczeniu szlaku przez pierwszą parę i pozostawieniu butli z tlenem Hillary i Norgay mieli trochę ułatwione zadanie. Najtrudniejszym miejscem okazał się kilkunastometrowy uskok skalny, nazwany później Stopniem Hillary’ego. Po jego pokonaniu Nowozelandczyk nie mógł się doczekać szczytu: każde kolejne wypiętrzenie grani wydawało się być tym ostatnim. Wreszcie o 11.30 osiągnęli cel. Hillary wyłączył dopływ tlenu i zaczął robić zdjęcia. Szerpa zakopał w śniegu czekoladę i inne słodczyce jako dar dla Bogini Matki Ziemi, a Nowozelandczyk – krzyżyk, który otrzymał od kierownika wyprawy. Po jakichś dziesięciu minutach Hillary stwierdził, że bez tlenu „staje się raczej niezdarny i powolny”.

Po zakończeniu ekspedycji wiele osób zastanawiało się, który z dwójki był na szczycie pierwszy, ale sami bohaterowie solidarnie nabrali wody w usta, traktując wejście jako sukces całej ekspedycji. Pokłosem



▲ Wspinacze na nieistniejącym już Stopniu Hillary'ego na południowo-wschodniej grani Everestu; po lewej zaciéniona ściana południowo-zachodnia, a po prawej ośnieżona górna część ściany wschodniej (Kangshung); zdjęcie z 2010 roku

Był Stopień, nie ma Stopnia

Trzęsienia ziemi zwykle postrzegane są jako katastrofy, ale niekiedy przynoszą zaskakująco pozytywne efekty. Najtrudniejszym miejscem na tzw. drodze normalnej, czyli najłatwiejszej drodze wejściowej na Mount Everest od nepalskiej strony, był tzw. Stopień Hillary'ego – dwunastometrowa ścianka prawie pod samym szczytem. Była jak mur broniący dostępu do twierdzy Everest. Do tego usytuowana na wysokości prawie 8800 m n.p.m., jak gdyby na złość wspinaczom, którzy na tej wysokości mają już wszystkiego dosyć. W niektórych latach po obfitych opadach przeszkodę udawało się pokonać, idąc po śniegu i lodzie, zwykle jednak trzeba było „łoić” samą skałę. A była to wspinaczka oznaczana jako IV w skalnej skali trudności, co oznacza: „bardzo trudno”. Na dodatek trzeba było się z nią mierzyć w odzieży niezbyt nadającej się do technicznych przejść.

Stopień Hillary'ego zniszczyło tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi, które nawiedziło Nepal w 2015 roku.

Lokalizacja i deniwelacja Everestu

Everest wznosi się na granicy Chin (Tybetu) i Nepalu, w północno-wschodniej części tego drugiego kraju. Ten skalny olbrzym omywany jest z trzech stron przez lodowce, dzięki czemu jeszcze bardziej wyróżnia się z otoczenia. Jego wysokość względna, czyli w stosunku do otaczających dolin, wynosi około 3700 m, a jedna ze ścian – Kangshung – ma 3350 m wysokości. Co ciekawe, Mount Everest nie jest górą o największej deniwelacji na świecie – do rekordzistów nawet się nie zbliża. Przykładowo, masyw Denali na Alasce, choć „zaledwie” sześciotysięczny, wyrasta ponad doliny aż na 5500 m.

spekulacji dotyczących pierwszeństwa był duży baner wywieszony w Katmandu, na którym można było zobaczyć, jak Tenzing wciąga ledwo żywego Hillary’ego na Everest. Dopiero po kilku latach słynny Szerpa ostatecznie wyjaśnił sprawę w swojej książce *Człowiek Everestu*: Hillary wszedł pierwszy, a Nepalczyk chwilę po nim.

Wiadomość o sukcesie przekazano światu w zaszyfrowanej komunikacie, niczym tajemnicę wojskową: chodziło o to, żeby pierwsza dowiedziała się o nim królowa, a nie media, zwłaszcza poza Wielką Brytanią. Przebywający w bazie korespondent „The Times” James Morris wysłał do Namche Bazar gońca z informacją: „Warunki śnieżne złe. Stop. Baza wysunięta

opuszczona. Stop. Czekamy na poprawę”. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko: „Szczyt zdobyty, weszli Hillary i Tenzing”.

Była to prawdopodobnie ostatnia ważna wiadomość, która została przekazana światu przez gońca. Do Londynu dotarła rankiem 2 czerwca, w dniu koronacji królowej Elżbiety II. Jedną z pierwszych decyzji monarchini było nadanie Huntowi i Hillary’emu tytułów szlacheckich, a Tenzingowi – Medalu Jerzego.

Ciekawie całą sprawę skomentował Eric Shipton, kierownik dwóch poprzednich wypraw na Everest, któremu bardzo nie podobała się atmosfera wyścigu na szczyt: „Dzięki Bogu. Teraz możemy zająć się porządną wspinaczką”.



▲ Widok z lotu ptaka na masyw Everestu dominujący nad morzem chmur

Pierwszy Polak, czyli pierwsza Europejka

Pierwszymi kobietami na szczycie Mount Everestu były Azjatki: Japonka Junko Tabei i Chinka Phantog. Co ciekawe, weszły w odstępie jedenastu dni: Tabei 16 maja, a Phantog 27 maja 1975 roku.

Trzy lata później najwyższą górę Ziemi zdobyła pierwsza Europejka, Polka Wanda Rutkiewicz, uczestniczka niemiecko-francuskiej wyprawy kierowanej przez dr. Karla Herrligkoffera. Na miejscu okazało się, że obecność kobiety nie wszystkim się podoba – wielu wspinaczy traktowało ją z wyższością. Rutkiewicz uważała to za przejaw szowinizmu, później jednak w książce *Karawana do marzeń* zawarła trafną obserwację: kiedy grupa słabych ludzi znajduje się w trudnej sytuacji, znajduje sobie kozła ofiarnego, żeby czuć się lepszym.

Nie bez znaczenia była obecność niemieckiej himalaistki, której Polka miała rzekomo pomóc w zdobyciu góry. Podczas ataku szczytowego Niemka osłabła, a Herrligkoffer wyznaczył Rutkiewicz do



▲ Wanda Rutkiewicz kilka lat przed zdobyciem Everestu



▲ Baza pod Everestem po stronie nepalskiej



▲ Obóz na Przełęczy Południowej z widokiem na szczytowe partie Everestu

sprowadzenia jej na dół. Zdając sobie sprawę, że następna szansa wejścia już się nie powtórzy, Wanda odmówiła, postawiła się również, kiedy próbowano jej wcisnąć dodatkową butlę z tlenem na Przełęczy Południowej (była już obciążona sprzętem filmowym).

Na Evereście Polka stanęła po sześciu godzinach i piętnastu minutach wspinaczki z przełęczy. Ostatnie 50 metrów pokonała bez tlenu: „(...) szłam bez tlenu, dlatego, że zalodził mi się wlot do maski tlenowej. Musiałam ją zdjąć i ostatnie metry przeszłam, oddychając powietrzem z zewnątrz. Na tych ostatnich metrach jest się w takim stanie euforii, że szłam do szczytu w tym samym tempie bez tlenu, jak z tlenem”.

Wyczyn Wandy Rutkiewicz był tym większy, że przed wyprawą zmagala się z anemią. Na radość ze zdobycia najwyższej góry świata trzeba było jeszcze poczekać: „Po zejściu wydawało mi się, że to nawet nie ja, że to nie był najwyższy szczyt. Jakoś wszystko było takie normalne, a jednocześnie nie do uświadomienia, nie do przeżycia”.

Niełatwo było też po powrocie do kraju. W mocno zmaskulinizowanym środowisku wspinaczy nie wszyscy potrafili przełknąć fakt, że w drodze na szczyt dali się wyprzedzić kobiecie. Pierwszy obywatel Polski na Evereście miał być mężczyzną, bo przecież „baby nie umieją się wspinać”. I choć z pewnością nie wszyscy tak myśleli, to takie przeświadczenie nie należało wówczas do rzadkości – hołdowali mu nawet himalaiści z pierwszych stron gazet. Co na to Rutkiewicz? Nie wydawała się tym zbyt przejmować i robiła swoje, odnosząc kolejne sukcesy w najwyższych górach świata (zob. rozdział K2, s. 32).

Tego samego dnia, kiedy Wanda Rutkiewicz zdobyła Mount Everest, Karol Wojtyła został wybrany na papieża. Kiedy obydwójce spotkali się później w Polsce, Rutkiewicz wręczyła Janowi Pawłowi II kamień ze szczytu, a papież wypowiedział słynne zdanie: „Dobry Bóg tak chciał, że tego samego dnia weszliśmy tak wysoko”.

Przez pole minowe

Droga, którą pierwsi zdobywcy weszli na Mount Everest, dziś jest uznawana za najłatwiejszą – to tzw. droga normalna. Prowadzi od strony nepalskiej, z bazy założonej na lodowcu Khumbu, na wysokości około 5400 m n.p.m. Emocje pojawiają się już na początku, podczas pokonywania lodospadu Khumbu sunącego w tempie do 1,2 m na dzień – taka prędkość powoduje, że nagle otwierają się bezdenne szczeliny albo zawalają bryły lodu wielkości sporego budynku. Większość grup przechodzi tędy przed wschodem słońca, kiedy lodospad jest zamarznięty i mniej podatny na ruch. Szybki i dobrze zaaklimatyzowany wspinacz potrafi pokonać Icefall w kilka godzin, ale wielu osobom zajmuje to nawet do dwunastu godzin. Szczeliny przekracza się po przerzuconych między krawędziami drabinach, a wchodząc na lodowy blok, nigdy nie można mieć pewności, że ten za chwilę się nie zawali. Do tego dochodzi stałe zagrożenie lawinowe – w 2014 roku obryw seraka wywołał lawinę, która zabiła szesnastu Sierpów ubezpieczających drogę przed wiosennym sezonem wspinaczkowym.



▲ Lodospad Khumbu (Icefall)

Szczyt Everestu w promieniach zachodzącego słońca ►►





A gdyby tak zimą...

- „- Halo, gdzie jesteście?
- A zgadnijcie!
- Halo, Halo!
- Na szczycie! Jesteśmy na szczycie!!!”.

Tak mniej więcej brzmiała rozmowa Krzysztofa Wielickiego z bazą 17 lutego 1980 roku o 14.25. Nie doszłoby do niej, gdyby nie Andrzej Zawada. Ten genialny organizator wypraw, z wykształcenia geolog, stworzył odrębną dyscyplinę alpinizmu: himalaizm zimowy. I to on przekonał Nepalczyków do wydania pozwolenia na wejścia na najwyższą górę o tak wariackiej porze.

Na początku wszystko idzie świetnie – już po dieśięciu dniach gotowy jest obóz III i wydaje się, że droga do Przełęczy Południowej stoi otworem. I wtedy himalajska zima pokazuje, na co ją stać. Załamanie pogody trwa miesiąc, a huraganowy wiatr uniemożliwia jakąkolwiek działalność. Jeden z członków wyprawy, Krzysztof Żurek, którym wicher cisnął o skałę, doznaje kontuzji i musi wrócić na niziny.

Krzysztof Wielicki wspomina: „Wiało tak, że jak szło się przodem do wiatru, to bił po twarzy grudkami lodu niesionego z Lhotse. Tyłem też nie było można, bo akurat przed twarzą powstaje próżnia. Na dodatek powietrze jest rozrzedzone i się dusisz”.

Poprawa następuje dopiero w lutym. Krzysztof Wielicki, Leszek Cichy i Walenty Fiut rozbijają na Przełęczy Południowej namiotek zwany szmatą kierownika (amerykański „omnipotent”). Nadal jednak trudno podjąć decyzję o dalszym wejściu.



▲ Andrzej Zawada w 1980 roku

I wtedy Zawada pokazuje, co to znaczy być kierownikiem. 13 lutego osobiście wchodzi z obozu II (6500 m n.p.m.) na Przełęcz Południową (7906 m n.p.m.) i – wraz z Ryszardem Szafirskim – rozstawi tam wygodny namiot. Nadają przez radio, że są w świetnej formie i jutro zamierzają iść dalej, choć w rzeczywistości ledwo żyją.

Manewr udaje się doskonale. Znowu Wielicki: „Gdy usłyszeliśmy Zawadę żartującego przez radio z namiotu na przełęczy, zrobił się w obozach popłoch. Stary wejdzie na szczyt i będzie wstyd”.

Najbardziej doświadczeni są jednak wyłączeni z gry z powodu odmrożeń i chorób. Do góry ma ruszyć młodzież: zaaklimatyzowani Wielicki i Cichy. Ten pierwszy to inżynier elektronik, urodzony w Szklarcu Przygodzickiej, w jednym z najbardziej płaskich miejsc w Polsce. Drugi jest niespełna trzydziestoletnim geodetą. Po nocy spędzonej w namiocie przed 7.00 rozpoczynają atak szczytowy. Pierwotnie wspinają się po zawietrznej stronie grani, wyżej jednak muszą stawić czoła huraganowi. O 14.25 wymęczeni wchodzi na szczyt. Cichy wypowie później słynne zdanie: „Gdyby to nie był Everest, tobyśmy chyba nie przeszli”. Na szczycie zostawiają drewniany krzyżyk upamiętniający filmowca Stanisława Latałłę, który zginął kilka lat wcześniej na Lhotse. Później w plotkach urośnie on do czterometrowego krzyża, a podczas powitania na lotnisku w Warszawie Edward Gierek nie poda z tego powodu ręki Andrzejowi Zawadzie.

पर्यटन मन्त्रालय
His Majesty's Government of Nepal
Ministry of Tourism

बिक्रम सम्बत् २०३६ सालको माघ महिना ३ गतेमा श्री आन्ड्रेज जावडा को नेतृत्वमा पोलिश नेशनल पर्वतारोही दलले C, C&C मिटर उच्चाई भएको सागमाथा हिमचूली सफलता पूर्वक आरोहण गरेकोले यो प्रमाण-पत्र प्रदान गरिएको छ ।

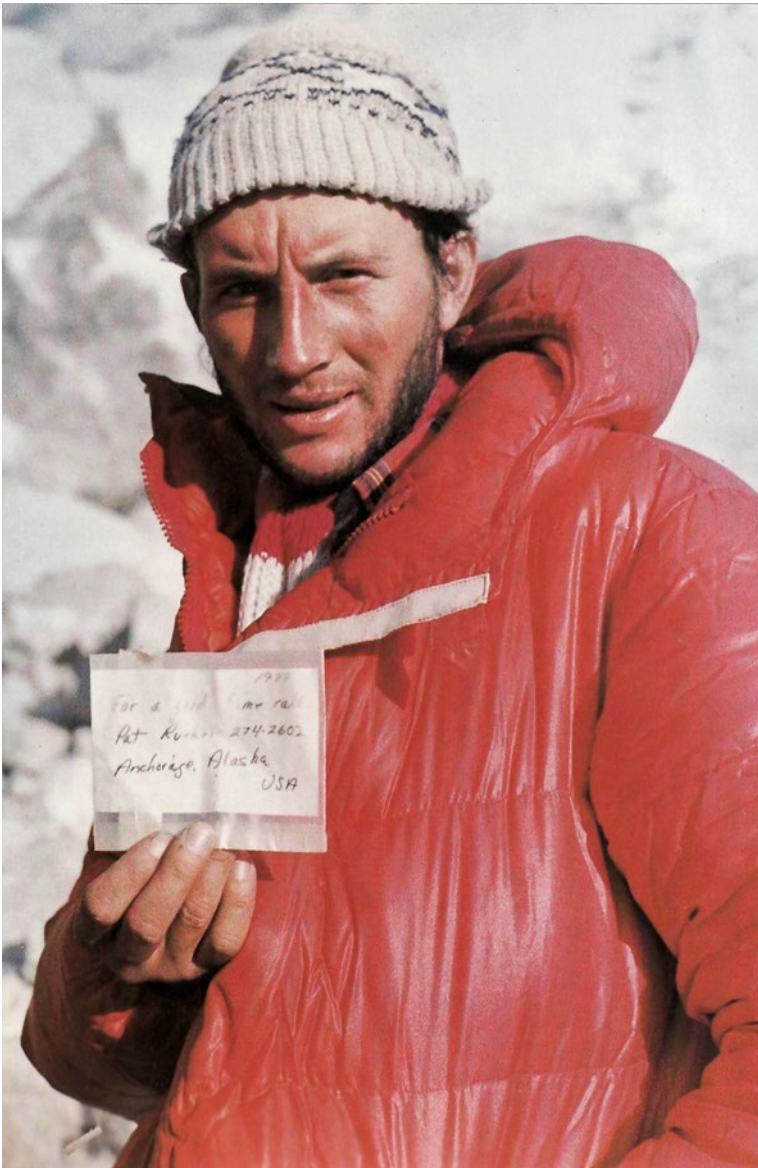
This is to certify that POLISH NATIONAL SAGARMATHA expedition led by Mr. ANDRZEJ ZAWADA of POLAND successfully climbed 9,848 meter high Mt. SAGARMATHA on 17 FEB of the year 1980 WINTER

1 - 3 - 1980
Kathmandu

Under Secretary
Mountaineering Section

Secretary
Achyut B. Rajbhandary

▲ Pozwolenie na zimową wyprawę na Everest w 1980 roku



▲ Leszek Cichy po zdobyciu Everestu prezentuje notatkę Raya Geneta zabraną ze szczytu

To jednak jeszcze nie koniec, bo przed zdobywcami mordercze zejście. Na radość przyjdzie czas w bazie, a póki co trzeba zejść na przełęcz. Wiatr wciąż zwała z nóg, kończy się tlen, Wielicki ma odmrożone stopy. Do namiotu dociera godzinę po Cichym, a potem spędza całą noc na rozgrzewaniu palców, by uratować je przed amputacją. Obaj są tak wycieńczeni, że do obozu III schodzą dłużej, niż podchodzili z niego na przełęcz.

19 lutego są już w bazie, a wyprawa kończy się pełnym sukcesem. Światowe media pod wrażeniem wyczynu Polaków, określają ich mianem Lodowych Wojowników (Ice Warriors).

Mało kto wie, że Wielicki pojechał na wyprawę z miejsca rezerwowego, bo nie załapał się do podstawowego składu. I że musiał używać okularów spawalniczych, bo zabrakło dla niego profesjonalnych, lodowcowych.

Wyczyn Polaków chciał pomniejszyć Reinhold Messner, włoski wspinacz z Tyrolu Południowego, który później rywalizował z Jerzym Kukuczka o tytuł pierwszego zdobywcy Korony Himalajów (kwestionował datę zdobycia szczytu – po wygaśnięciu terminu zezwolenia). Było to jednak spowodowane względami osobistymi – wkrótce potem miał zamiar wejść zimą na Czo Oju i zostać pierwszym zimowym zdobywcą ośmiotysięcznika. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” w 2014 roku przyznał jednak, że wyczyn ekipy Zawady był „najważniejszym wejściem na ośmiotysięcznik w historii alpinizmu”.



▲ Zimowi zdobywcy Everestu po powrocie do bazy

Za ciosem

Zaledwie trzy miesiące od zimowej wyprawy Zawada znów był pod Everestem. Tym razem z zamiarem zdobycia szczytu nową drogą, południowym filarem. W wyprawie oprócz starych wyjadaczy wzięli udział dwaj młodszy i mniej doświadczeni – Jerzy Kukuczka i Andrzej Czok. I to właśnie oni najbardziej napracowali się podczas zakładania kolejnych obozów, zdobywając tym samym najlepszą aklimatyzację. Chętnych na atak było wielu, ale decyzja należała do Zawady. Ten nie miał wątpliwości: „Uważam, że jako pierwsi powinni pójść Kukuczka z Czokiem, bo mają najlepszą kondycję, są w sztosie. A za nimi, jako drugi zespół, Heinrich i Olech, bo im się to należy. Idźcie w czwórkę”.

Największym problemem w drodze na szczyt był próg skalny na ponad ośmiu tysiącach. Kukuczka stwierdził potem, że było to najtrudniejsze miejsce, jakie przeszedł w Himalajach: „Zrobienie go na tej wysokości kosztowało mnie tak dużo siły, że w pewnym momencie z wysiłku najzwyczajniej... zlałem się w spodnie. Chwilami ciemniało mi w oczach. Chodziło o 8-10 metrów pionowej skały. Zrobiliśmy cały wyciąg, 40 metrów miejscami trudniejszych, miejscami łatwiejszych, chociaż ogólnie bardzo trudnych. Jednak o wszystkim decydowało właśnie te 8-10 metrów”.



▲ Zigmunt Andrzej Heinrich, Kazimierz Olech i Andrzej Czok (wyprawa wiosenna, 1980 rok)



▲ Jerzy Kukuczka i Andrzej Czok podczas wiosennej wyprawy na Everest (1980 rok)

19 maja około 17.00 Kukuczka i Czok stają na szczycie Mount Everestu. Drugi raz w krótkim odstępie czasu wyprawa Andrzeja Zawady odnosi spektakularny sukces na najwyższej górze świata.

Jednak, jak mówią ludzie gór, „szczyt jest w bazie”. Trzeba jeszcze zejść. Droga do obozu V, pełna dramatycznych wydarzeń, zajmuje im kilkanaście godzin. W międzyczasie Kukuczka potyka się i turla w dół po stromym zboczu.

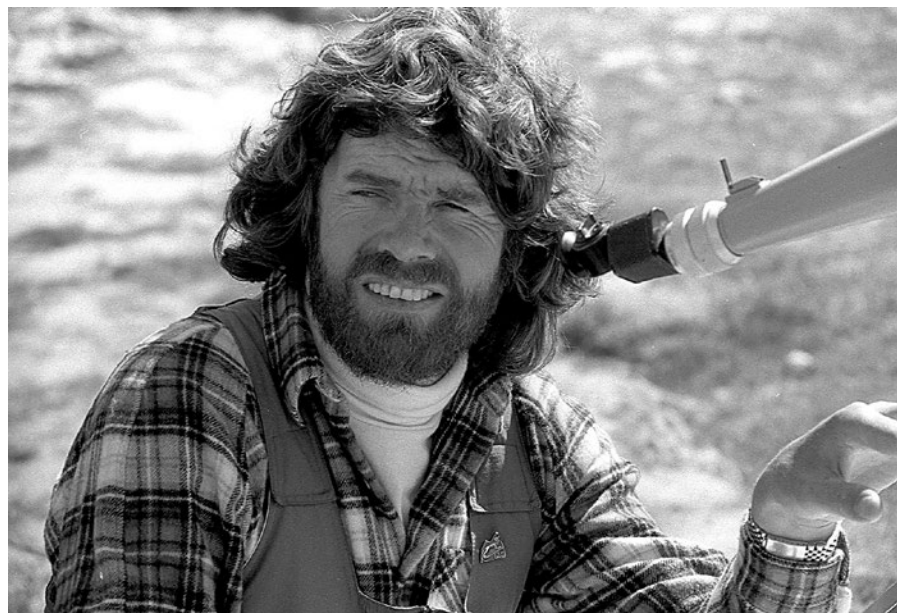
Zawada nie pozwolił już wyjść w górę żadnemu zespołowi. Wyprawa i tak osiągnęła olbrzymi sukces: wytyczono znakomity wariant drogi na Mount Everest. Zawada uważał nawet, że z czasem stanie się ona popularniejsza od drogi pierwszych zdobywców (tak się jednak nie stało).

Dwa razy Messner, raz Miotk

Dwa lata wcześniej na Evereście padła inna, zdawałoby się niemożliwa do pokonania, bariera: Reinhold Messner i Peter Habeler weszli na szczyt bez wspomagania tlenowego. Do dziś mało kto tego dokonuje – jak dotąd wyczyn powtórzyło około dwustu osób, czyli jedna czterdziesta zdobywców góry.

Messner jednak nie miał dosyć i w sierpniu 1980 roku wszedł na Everest ponownie – tym razem samotnie, od strony chińskiej, i oczywiście bez tlenu. Żeby nie było za łatwo, na wyprawę wybrał środek monsunu. Wejście dało mu nieźle w kość. Na szczycie wyczerpany padł w śnieg i zasnął. „Na szczęście po godzinie nabrałem sił, by znowu wstać i zejść. W 1980 roku na Evereście byłem bardziej zniszczony niż kiedykolwiek wcześniej, a nawet później” – wspominał.

W 2005 roku również bez tlenu i również samotnie wszedł na Everest Polak Marcin Miotk. Z ostatniego obozu wystartował kilka godzin po innych ekipach, ponieważ z namiotu ukradziono mu latarkę i nie mógł nocą przygotować się do wyjścia. Siłą rzeczy szedł też znacznie wolniej: „Pamiętam, że inni wspinacze, z którymi spotkałem się w połowie drogi na szczyt, gdy oni schodzili, patrzyli na mnie trochę jak na dziwaka. Odradzali atak, mówili o silnym wie-



▲ Reinhold Messner w 1985 roku

trze na szczycie, zwiastującym w najbliższych godzinach załamanie pogody, jakie przynosi monsun. Wzbudzałem też ich zaciekawienie – bez butli tlenowej i plecaka, zupełnie «na lekko», z termosem oraz butelką wody wystającą z kombinezonu puchowego, no i bez towarzyszącego Szerpy. Wyglądałem dla nich... nierealnie”.

Miotk jest jak dotąd jedynym Polakiem, który zdobył najwyższy szczyt świata bez dodatkowego tlenu.

▼ Masyw Everestu od strony tybetańskiej (chińskiej)

